

RIMIFON

300 tabletek £ 1.04.0
10 gr. streptomycyny £ 2.2.6
3 mil. jedn. penicyliny oleistej £ 0.14.0
CENY Z PRZESYŁKĄ DO POLSKI
W Y S Y Ł A
APTEKA GRABOWSKIEGO
187, Draycott Avenue, London, S. W. 3.
Telefon: KENSINGTON 0750.

ZYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

Tadeusz Nowakowski
SZOPA ZA JAŚMINAMI
Opowieść o niemieckim obozie koncentracyjnym
125 stron.
Cena 5/- . Z przesyłką 5/6
Do nabycia:
VERITAS FOUND. PUBL. CENTRE,
12, Praed Mews, London, W. 2.

ROK VI.

Nr 45 (281)

LONDYN, 9 LISTOPADA 1952 R.

ZOFIA ROMANOWICZOWA

P R Ó B Ó W K A

Od tygodnia skład celi pod czwórka nie zmienił się. Jest tam kobiet dwadzieścia sześć. Kryminalnych jedenastu: dwa morderstwa, jedno włóczęgostwo, cztery za przemyt, cztery recydywa. Politycznych trzynaście — kto wierzy w wymowę cyfr? Oprócz tego dwie „za bandytów”, element mieszany. Nie wiadomo właściwie co teraz pod słowem bandyta rozumieć. Polityczne zajęły prawą stronę celi, z oknem — kryminalne lewą, z kibelem. Bandytki, wiejskie dziewczuchy o starganych warkoczach pod wełnianymi chustkami, śpiącej pośrodku.

Scena, to mały szescian celi, czarna podłoga z „asfaltu”, mury pełne liszajów, pokryte sentencjami i rysunkami, jak ubikacja dworcowa. Ale właściwie jest to wielka próbowka, zamknięta szczelnie, w której ktoś pomieszał dla siebie wiadomych celów istoty różnych gatunków i wrogich sobie rodzajów. Ze jest to eksperyment pozaziemski, zdaje się nie ulegać wątpliwości. — Słupy, truf — mawiają ludzie. Ale czy ślepy traf umiałby osiągnąć do tego potrzasku dwadzieścia sześć kobiet, jedną po drugiej, tak, żeby każda była dla każdej krzyżem, żeby Antośka spała koło ślepej cyganki, Brożkowa koło Józki, Lucyna koło Grudzikowej? Któż więc dobiera ludzi, co razem mają być zasypani: w ciemnej sztolni?

Kiedy się wspiąć na palce, widać przez małe okienko łękę ze srebrną kreczą rzeką napoprzek. Jest lato i powietrze, które się wciska czasami do wnętrza celi, pachnie jak wywar z ziół. Kto raz go zacerpnie, trudno mu będzie potem przyzwyczaić się na nowo do ludzkich zgęszczonych wyziewów. I jeszcze jeden szczegół: drzwi zatrzaśnięte naглуcho z wykrojonym pośrodku cyklopowym ślepiem wizerunku. W brudnej szybie czasami coś zamajaczy, coś się przesunie. Niewidzialne oko obserwuje przebieg doświadczenia.

Od tygodnia do celi pod czwórka nikt nie przybył, nikt nie ubył, nikt ze sceny nie zszedł na moment, i właśnie dziś, pomiędzy apelem wieczornym a fatalną godziną północy upływa czas, odmierzony na eksperyment i próbowka zostanie rozbita. Ale o tym nikomu nie wiadomo. Zasypani w sztolni do ostatniej chwili wyczekują ekspedycji ratunkowej. Więć i dziś, jak co wieczór, po zgaszeniu światła modlitwa chóralna, S.O.S. wysłane w stronę niebieskich mocy. Chóry są dwa. Prawa i lewa stroja celi w inne słowa ubierają swoje suplikacje. Pomiędzy prawą a lewą stroną celi przepaść nawet w modlitwie rozłupana. Jeden tylko cieniutki pomost przez nią: rozżaniec.

— Wiezo złota! — intonuje pani Lewandowska, właścicielka kwiatarni z placu Trzeciego Maja.

— Módl się za nami — odpowiada Brożkowa, złodziejka, kręcąc papiloty.

— Pocięszycielko strapionych! — podejmuje znowu pani Lewandowska.

— Módl się za nami — pojękują dziewczyny-bandytki. Jedna Antośka ostentacyjnie wysiaduje na kiblu, z pokrywą w rękę.

Różaniec dobiega końca i więź przyska. Więć pani Lewandowska, modulując głos, rozpoczyna nową modlitwę do św. Tadeusza Judy, który miał szczęście należeć do rodziny Chrystusa. Pana, który jest, jak dotąd, mało znanym i mało nagabywanym spośród świętych Pańskich i dlatego wstawianictwo jego skutecznym być może w najcięższych potrzebach. Potem Lucyna deklamuje własnego układu modlitwę „za Polskę”.

Lewa strona celi czeka cierpliwie, aż panie się wymodlą. Antośka zlaży z kibla, trzaskając pokrywą. Wreszcie Zosia Brożkowa zaczyna prawdziwą, więzienną modlitwę, tę, której mury nawykły słuchać, odkąd jej wapnem spojono.

Przytul mnie Jezu
Do serca Twego,
Bo w Twoim sercu jest ogromna moc,
Bo w Twoim sercu
Jest ogromna moc.
Daj nam, Jezusie, szczęśliwą tę noc,

Szczęśliwą tę noc,
Szczeniwe spanie,
Daj nam, Jezusie, w więźniu wytrwanie.

Po prawej stronie celi jedna chyba Alusia powtarza słowo za słowem tej pieśni. Wystarczy lekka poświata od strony okienka, żeby jej piękność stała się widoczną. Alusia ma siedemnaście lat. Jej uarzewiony ukrywa się.

Pani Lewandowska zwykła jej się przyglądać rozrzuconym okiem.

— Istny mój portret z młodych lat — wzdycha. — Miałam taką miniaturę w złotym medalionie. Mąż nieboszyk ją nosił stale zamiast brelokka, na łańcuszku od zegarka.

I z westchnieniem, po ostatnim apane, wyluskuje się ze środka gorsetu, który kedyś pewną opinał ją z trudem, a teraz sterczy żałośnie, jak pusty futerał. Gdy podniesie rękę, skóra zwisa na kształt luźnego rękawa. Tylko usta są malinowe i młode w pięćdziesięcioletniej twarzy. Zawsze pamięta, żeby je układać w serduszek, nawet podczas przesłuchania.

Grudzikowa chrząka znacząco, kiedy głos zabierze Lucyna. Jest urzędniczką pocztową. Całe życie przybijała stemple na kopertach i sumowała koluniny cyfr. Wieczorami pilrasła mężowi i córce Gieni na gazowej kuchence kupionej na splatu. Michał Grudzik, mąż słabowitego zdrowia, bez jednego palca u ręki, bo mu go w tamtej wojnie urwało, mrukił, domowy despotka i Michał Grudzik, kochanek Lucyny, schwyłany u niej, szef nielegalnej organizacji, o szaleńczej odwadze i energii — to jedna osoba. Pani Grudzikowa tego nie jest zdolna pojąć. Nie jest zdolna pojąć także i tego, że Lucyna, to nie zwykła dziewczka, z którą mąż przelotnie niechby ją i zdradził. Przygaduje, wykiwa, stara się poniżyć tamtą nadaremnie.

— Mój mąż — mawia głośno, żeby wszyscy słyszeli — lubił, owszem, za bawć się. Nie raz mi opowiadał, jak to dziewczynki na niego leciały. Ale mnie co tam? „Takich” mógł mieć na kopy a i tak zawsze do mnie, ślubnej żony powrócił.

W środku gadatliwej tyrady milknie i w brzydkiej twarzy małe oczka zamysłają się łepo. Jest w zatobie po Michale Grudziku, urzędniku, dziwną pomyłką i niesprawiedliwą śmiercią Josa rozstrzelanym przed pół rokiem.

Lucyna zbywa doćinki miłozaniem. Siwa, sucha, na palcu serdecznym ma srebrny sygnet z trupią główką — paniątka z tamtej wojny i z tamtej konspiracji. Otulona w czarny płaszcz nie widzi nikogo, odzyska się rzadko. Jest w żalobie po Michale Grudziku, konspiratorze z obydwu wojen, rozstrzelanym za sprawę.

Pomiędzy tymi dwoma kobietami i ich nienawiścią — Gienia Grudzikowa, istny portret matki. Z ojca ma chyba tylko oczy. W ciągu dnia skubie słomę z koi, tyłem do matki, głucha na jej gderanie. Tylko czasem podnieście te swoje oczy na Lucynę, aż tamta błędnie. To Gienia ich wydała.

Peśń przebrzmiewa i cęła pod czwórka układa się do snu. W nocy jest jeszcze ciszej niż w dzień. Słomiane mały, rozścielone na asfalcie, tworzą jedno wspólne legowisko. Tylko kapitanowa, ze względu na swoje duszności, korzysta z przywileju i sypia na spuszczonej ze ściany żelaznym łożku. W skórzanej czapie, w rękawiczkach, groteskowa i wielka, leży sztywno, jak na katafalku. Nijez, w ciemności bieleje Alusi głowa z marmuru. Wargi jej poruszają się bez przerwy. W przeciwległym kącie Zosia Brożkowa szeleści papilotami ze starej gazety. Nuci sobie przy tym:

Jam jest Helena, jam nieszczęśliwa

Bom utopila swe dziecię,
A moja mama w grobie spoczywa,
Jam jest samotna na świecie...

Zawsze przy tej piosence roztkliwiała się. Nie żęby miała jakieś dziecię na sumieniu. Zosia Brożek jest kobieta z fachu. Na Czechy jeździła

nawet na turnusy za materiałami. Nkt nie potrafi tak, jak ona, ekspedientce brylantem na palcu w oczy błysnąć i błat jedwabiu albo zagranać nieży koronki z lady spuścić. Wypracowała sobie własną technikę. Osiemnaście razy karana, osiemnaście razy zwolniona, we Wronkach, Kiełcach czy Pączowie czuje się jak w domu. Co jej tam? Za dwa tygodnie wyrok jej się kończy, a i Franek, jej szubrak, też niedługo na wolność wychodzi.

— Ci, loki, jak pies kolo... — syczy zjadliwie w stronę papilotów Antośka. Piosenka o pięknej Helenie, to dla niej czerwona płachta na białka. Podejrzuwa, że to naumyślnie. Kiedyś zwierzyła się złodziejce, jak raz wypadło jej rodzic w Końskich na cmentarzu i od tej pory, chociaż siedzi za zlotówkę z kościelnej skarbnicy, Brożkowa poleczyła ją między „zabójkami”, które tępi, jak może. Nawet Ciacine, Herod babę, poszluchuje, aż w płaskiej, okrągłej głębie błyskawia oczka złotym ogniem.

— Jak to było, Ciacino? — wykiwa. — Za długo zdziadusiowi się żyło? Morgoń nie chciał odpisać?

— Cicho! — syczy Lucyna. Brożkowa jest starszą celi, ale Lucyna także ma swoją powagę.

JÓZEF ŁOBODOWSKI

O NIENAWIŚCI

Adamowi Uziembie

Nie, nie po to!

Nie po to nas matki rodziły,
nie po to chyliły się nad węgłowym, spalonym gorączką,
nie po to stonice ukrop ulewato nam w żyły,
kiedyśmy biegi przez białe stadiony,
nie po to wystawialiśmy miłość oszalalymi ustami,
nie po to poiliśmy się załem i łęsknotą,
nie po to sami byliśmy kochani —
nie! — nie po to, nie po to,
nie po to!

Nie po to, aby nas obca przemoc zaprzęła
w jarzmo bydłecę;
nie po to, byśmy strzelali zza węgła
i — dziećmi — we krwi nurzali ręce,
nie po to, byśmy kryli się jak szczury
i w rodzinnych miejscach schodzili do scieków,
ani światem zwilgłym i ponurym
mordowali na rozstajnych drogach,
ani wrogą
widzieli w cztowieku.

Nie, nie po to!

Nie po to, byśmy nienawicią się truli
i sami wyrosła w nienawicię;
byśmy w sztylicie i stryczku i kuli,
widzieli znak, co nas zbawi;
nie po to, byśmy na rogach obcych stołec
budzili śmiech sztyderczy albo łiosć,
i nie po to,
by — zdradziwszy i pohabibuszony dowoli —
znow nas strzelam w tył czaszki zabito.

Chcemy powrócić na białe stadiony,
chcemy odnaleźć dłonie przyjazne i spojrzienia szczerze.
Zroszone kwiaty wiosennych czterech
rucia dla kochanki lub żony
I w ramionach świąnych naszych matek
utrącone dzieciństwo odnaleźć,
wypłakać nasz ból i zabrać,
nasze czyny zbrodnicze, nasze zale;
wyprostować ściągnięte brwi —
a gdy sny nam się przysną,
niechaj każdy z nich zbawie
jako dziecko, nad ślepem lecące tabędzie,
a nie ptaki
rozszarpane w własnej krwi

To właśnie po to!

Po to język nasz głuchy i wzrok niemy,
Po to mordujemy na rozstajnych drogach,
Po to łęsknotą się trujemy
i w cztowieku widzimy wroga.
Aby nie zginąć w podstępnych pętlach,
aby nie zmarnieć w konwulsjach i skurczach,
by nie zmarnieć na zimnie, nie usłaniać od gorąca,
by serca przestrzeżonego nie wykrwawieć.

Dlatego nas pielegnuje i kocha,
matka nasza, narzeczona najczulsza,
zawzięta,
twórcza,
odnawiająca
nienawieść.

Józef Łobodowski

I robi się cicho... Słychać tylko oddechy i westchnienia. Mamo! — helkoce Gienia przez sen. Matka skwapliwie otula ją kocem. Gienia taka dziwnie oschła zrobiła się od aresztowania. A teraz to — mamo! — przez sen, aż serce taje. Nie domyśla się Grudzikowa, że okrzyk ten skierowany był nie do niej, bezradnej, starszej kobiety, ponżonej żony, niedołężnej matki. We śnie dziewczyna wzywa matkę pierwszego dzieciństwa, obrzynek o półboskiej naturze, której ramiona skutecznie kiedyś chroniły od wszelkiego złego światła.

C.sza... Jeszcze tylko od strony ślepej cyganki dochodzi monotonne mruczenie. Antośka zgryza zębami. Wszystko spryskując się dzisiaj, żeby w niej tę ranę rozdrapać. Ślepa cyganka układa do snu swoje magiacyjne dzieciątko.

— Ja ci pokażę, ty wszarzu — odgraża się Antośka, wścicka.

Józka bandytka obraca się z boku na bok. Ta papilotów kręcić nie potrafi — jasne warkoce, jak strzecha, na jej głowie, Brożkowa z zawzięcią nasiluchuje zdrowego posypwaną dziewczynę. Franek, korytarzowy, znowu dzisiaj marudził przy nalewaniu zupy. Nabrał dla Józki

chochle gęstej, z samego spodu kolla. Brożkowa zagryza wargi, perspektywa wyjścia na wolność już mniej ją cieszy, wolałaby siedzieć tu w celi, mieć jasne warkoce Józki i żeby Franek nikomu innemu takiej gęstej zupy nie nalewał.

— Ale sen zaciera wszystko. Pod oknem chodzi strażnik, stukając butami. Gdzieś daleko, za murem, ujadają wolnościowe psy. Naprzeciw okna na ścianie, krata odbija się czarnym, wielkim krzyżem.

— Az tu nagle z kąta, gdzie ślepa cyganka zwykła przykucac na garstce słomy, jak nie buchnie wrzask! Stara wyje, głową łomocze o mur bez panicej. W celi robi się poruszenie. Z polowy drogi w sen zawracają wszystkie, radę nie rade.

— Przepraszam Boga i państwa tu obecnych! — szlocha ślepa. — Żeby ten, co mi dzieciątko moje wziął, jutro nie dojechał! Żeby go święta ziemia przyjął nie chciała! Żeby...

— Oddajciez jej, zlitujcie się... dziecko słuha... — Grudzikowa drzy, żeby jej się córeczka nie zgorzszyla, choć sama przy niej różne rzeczy pod adresem Lucyny wygaduje. Gienia leży cichutko, nie wiadomo czy śpi czy udaje. Wreszcie Brożkowa, starsza celi, decyduje się na interwencję.

— Antośka! Rusz mi się, zaraz, bo za ten hamiler będzie strafa dla całej celi! Gdzieżes te łachy schowała?

Dziewucha mruczy, zła, ale posłusznie — gdzieś tam gmera i wreszcie ciska cuchnący tłumoczek w stronę cyganki. Płacz cichnie. Ślepa obmacuje węzełek, rozwiązuje, układa ko-szulinki, kaftaniczki, pieluchy. — Aaa — podśpiewuje i kołysz. — Aaa — podnosi do ust, wycmukając głośne pocałunki.

— Czysła kumedyja — splotu Antośka. Scierpieć cyganki nie może z jej wiecznym mianuczeniem. I nie wiadomo czemu sama teraz w płacz. Płaczem ewprawnie, trzęsąc się i bucząc, jak krowa.

— Cicho! — syczy po swojemu Lucyna. Korzystając z zamieszania, manewrowała coś przy kiblu, darła jakieś papierki. Nkt tego nie zauważył.

— Boże, co za towarzystwo! — jęczy kapitanowa ze swoich wysokośc. — Quele horreur! Wystraszyła się wrzasku cyganki i teraz siedzi, starając się złapać oddech z powrotem. Jej przyspęszona rżęzenie napędziła celę niepokojem.

— Moze kropielek, pani kapitanowo? — pyta słodutko pani Lewandowska. I tak wiadomo, że zanim kto zdąży się ruszyć, Alusia pierwsza się zerwie i poda.

— Nie, nie — opędza się chora. — Już mi lepiej. I z gablotki światła na wprost okna, maska jej agoni osuwa się w ciemność.

— Teraz już chyba zasną wszystkie. Teraz już chyba nic innego przed tym się nie stanie. Pod drzwiami celi ktoś przystaje bezszelnie. Trzaska przekroczony kontakt. Czyżby spojrzzenie wędruje od jednej do drugiej, jakby chce sprawdzić, czy wszystko gotowe.

Tymczasem na dziedziniec więzienny zajeżdżają ciężkie wozy. To patrol egzekucyjny. Jeszcze tyle tylko zostało czasu kobietom spod czwórki, ile trzeba, żeby im otworzyć bramę, żeby im z magazynu wydać kilofy i łopaty, którymi wykopiują rów pod lasem. Jeszcze tyle czasu, ile trzeba; żeby przebyć obszerne podwórce od wartowni na oddział kobiecej. Pęć minut, trzy minuty, dwie... Dwie minuty, a potem przejść w nieskończoność... A one śpią i nie się nie dzieje, żadne procesy chemiczne nie usprawiedliwiają rozbicia próbowki. A jednak...

Węc zmarszczki nocne, ze strączkami papilotów pod tureckim zawojem ś. i, że zawieszona białe Franki muślinowe w oknach (nowna — orzekłaby nazajutrz pani Lewandowska, gdyby Franek nazajutrz...) Spiesz się; bo Franek idzie sienią, poznaje jego kroki. Trzask! Rozdarła się nowa franka od góry do dołu! (Jednak znak, ale przecież spóźniony). Antośka na cmentarzu w Końskich cuci

ze snu martwe dzeciątko. Już ożyło, już otwarło oczki — i jak nie zaplać! Cichaj, cichaj, po aleje cmentarnej chodzą ludzie, usłyszą, wygniją. Antośka dziecku usta w pościechu chustką zatyka, a ono znowu jej się nieje, sztywnieje w objęciach. Co za żal, co za trwoga! Ślepa cyganka śpi w kucki, jak na b waku, tuląc swój szmaciany skarb. Nie można zakręcić ramienia tkliwym ruchem, nawet gdyby tam miała spocząć główka prawdziwego niemowlęcia. Ciacina czai się za przyzma kamieni. Kazała staremu roztrząsać gnój, a ten darmożąd wyłożył się i grzeje w słońcu. Widły są ostre, przytłamsią go do ziemi, ale on, jak robak, jak karaluch, wije się i coś tam helkoce. Ogląda się Ciacina, a tu cała wieś pędzi drogą z kłonicami. Niechby i cała wieś, nie popuszcze, aż przestanie mi więc się ta gadzina!

Józka rozłożyła ręce szeroko, złoty warkoczek, jak bicz, na więziennym kocu. Ciągnie wodę ze studni, Franek pić prosił. Ciężkie wiadro, studnia głęboka, cembrowana, łańcuszek zgryzta. Słodka niemoc ogarnia dziewczynę.

Pani Grudzikowa śpi spokojnie, wciśnięta z pedanterią w kopertę z szarego koca. — Mnie się tam nigdy nie śni — mawia do pani Lewandowskiej, tłumaczki słów. Ale teraz majaczy jej się jednak mglisto owo „mamo!” Gienia. Ta, zwinęta w kłębek, ma kapryśnie odjęte usta dziecka. Przegląda fotografię w rodzinnym albumie, ale na każdej stronie ojciec wyciąga ku niej rękę, tę bez palca, tę, której się brzydzą.

Kapitanowej śni się, że umiera. Nie pierwszy raz to u niej taki sen, więc cierpliwie czeka, aż rozluźnią się kleszcze, ścisnąc jej gardło, aż zejście z piersi zmora o gbie Ciaciny. — To tylko sen — tłumaczy solka. Byłe się znie spłoszyć, byle nie wpaść w panikę! To tylko sen, ta przepaść, w którą się zapada żelazne łożko, cęła pod czwórka, świat.

Pani Lewandowska, z malinowym serduszkem warg, leży jak pusty wór po macę. We śnie układa bukiet z białych róż na grób nieboszyka męża. Nieboszyk stoi przy niej, wysłwieżony, uśmiechnięty (zły znak — powiedziałaby jutro, gdyby jutro miało miejsce — zły znak, jeśli umarły ożywa. Lepiej już, jeśli żywi we śnie umarają...). Żelazne żaluzje kwiecarni zasuwają się z trzaskiem. Mąż nieboszyk za ka, tylko medalion z fotografią Alusia leży na podłodze.

Wszystkie śpią... Jedna Alusia czuwa i wszystko odgadła. Słyszysz warkot motorów, widzi reflektory nyszkujące po ścianach celi. Słyszysz obęą rozmowę, słyszysz tupot nóg na drewnianych schodkach prowadzących na oddział kobiecej. Już tylko jedna minuta została. Alusia nie rusza się, leży cichutko. Jeszcze kończy pertraktację z Bogiem. Jeszcze raz powtarza, że to, co jej zostanie zabrane za chwilę — życie — że ona ofiaruje je sama, chętnie, z własnej woli. A wzamian — żeby tylko tamto droższe życie, tamta, ważniejsza wolność były zachowane. Smieszne targi zwierzyńca z łucznicznikiem.

Lucyna ma koszmary. Przed zaśnięciem wrzuciła do kibla gryps podarty na strzępy i zardzewiałą zyletkę. To był skarb — nie rozstała się z nim od miesiąca. Co za pocęcha mieć przy sobie te ostateczna furteczka nadziei! Ale gryps obiecywał wielkie rzeczy. Organizacja ma je oddać, polityczne, z Lucyną na czele. Jutro, pojutrze, najdalej za trzy dni. Tymczasem wszystko kompromitujące zniszczyć, szykuje się rewizja, lada drobiazg znaleziony mógłby wzbudzić podejrzenia, pokrzyżować plany.

— Żywej mnie nie wezmą — powtarza Lucyna przez sen. I widzi siebie jak na żółtej fotografii z tamtej wojny. Byli na majówce całą bandą. Chłopcy — urlopowicze — pomieniali się z pannami na kapelusze. Ma na głowie utarśkie czako Michała i na palcu jego pierścien z trupią główką. Lecz na zielonej łące, z tyłu wybucha bitwa. Bitwa jest trochę konwencjonalna, przypomina szarżę z obrazu Kossaka, ale to w

(Dokończenie na str. 4)

DOKUMENTY NAUKI KOŚCIOŁA

GRANICE MORALNE METOD WIEDZY MEDYCZNEJ

W dniach od 8 do 13 września odbył się w Rzymie I Międzynarodowy Kongres Histopatologii Systemu Nerwowego, przy uczestnictwie około 500 uczonych spośród 40 narodów. Kongres miał podwójne znaczenie: po raz pierwszy zebrali się na zjazd międzynarodowy uczeni z tej dziedziny; a ogrom przedyskutowanego materiału stworzył syntezę wiadomości naukowych osiągniętych na tym polu w ciągu ostatnich 50 lat.

Po zakończeniu obrad uczestnicy w liczbie ponad 300 przyjęci zostali 14 września na audyencji przez Papieża Piusa XII, który wygłosił do nich długie przemówienie w języku francuskim na temat: „Granice moralne metod wiedzy medycznej w zakresie badań naukowych i w praktyce lekarskiej”.

* * *

Omówiwszy krótko znaczenie kongresu, Papież zaznaczył, że pragnie zwrócić uwagę uczestników kongresu, zgodnie z wyrażeniami przez nich zyczeniami, nie na granice możliwości leczenia i wiedzy medycznej teoretycznej i praktycznej w tej dziedzinie, lecz na granice praw i obowiązków moralnych. Wprawdzie sumienny i kompetentny badacz, uczony czy lekarz praktykujący dostarcza często, z pewnym rodzajem intuicji spontanicznej, że czyn, którego zamierzają dokonać, jest moralnie dozwolony, ale są sytuacje, kiedy trudno jest wyrobić sobie w tej dziedzinie wiedzy pewny sąd o godności tej czy innej metody. Papież zamierza więc podać zasady, według których można będzie w poszczególnych wypadkach odpowiedzieć sobie na pytanie o moralności czynu zamierzonego czy to w dziedzinie metod badania, czy też w zakresie praktyki lekarskiej. Trzy rodzaje korzyści należy uwzględnić przy rozpatrywaniu moralnych granic badań medycznych i stosowaniu nowych metod: interes wiedzy, dobro pacjenta i dobro ogólne.

INTERES WIEDZY

Wiadomości naukowe mają własną wartość w dziedzinie wiedzy medycznej, podobnie jak w innych dziedzinach wiedzy ludzkiej; tej wartości nie można lekceważyć, a jest ona niezależna od użyteczności zdobytych wiadomości. Te wiadomości i pełnia znajomości całej prawdy nie budzą żadnych zastrzeżeń moralnych. Tak samo badania naukowe i zdobywanie prawdy w celu osiągnięcia pełniejszej i głębszej wiedzy są w zasadzie w zgodzie z porządkiem moralnym.

Nie oznacza to jednak, że każda metoda badania naukowego i technicznego daje pełną gwarancję moralną lub że każda metoda staje się dozwolona przez sam fakt, iż przyczynia się do wzrostu i pogłębienia wiedzy. Nierzadko zdarza się, że jakaś metoda nie może być zastosowana bez naruszenia cudzych praw względnie bez zgwałcenia reguły moralnej o wartości bezwzględnej. Zastosowanie takiej metody jest moralnie niedopuszczalne — dlatego, że wiedza z niej jest wartościowa najwyżej, której miałyby podlegać wszystkie inne porządki wartości. Wiedza sama, jak również jej badanie i zdobywanie winny włączyć się w porządek wartości. Tutaj wyraźnie zarysowują się granice, których nawet wiedza medyczna nie może przekroczyć bez naruszenia najwyższych reguł moralnych. Nad interesem wiedzy dominują wśród wielu różnych wartości: wzajemne zaufanie między lekarzem i pacjentem i prawo osobiste pacjenta do życia, fizycznego i duchowego, w jego integralności psychicznej czy moralnej.

DOBRO PACJENTA

Usprawiedliwieniem moralnym postępowania lekarza jest w bardzo wielu wypadkach dobro pacjenta. Nie we wszystkich jednak. Nie można przyjąć następującego sformułowania: „Leczenie chorego wymaga zastosowania pewnego środka. Sam fakt ten sprawia, że godziwość moralna zastosowania tego środka jest dowiedziona”. Podobnie nie do przyjęcia jest następujące inne sformułowanie: „Dana nowa metoda, dotychczas zlekceważona lub mało stosowana, da rezultaty możliwe, prawdopodobnie lub pewne. Przez to samo wszystkie rozważania etyczne nad godziwością tej metody powinny być traktowane jako bezprzedmiotowe”. Dlaczego takie czy tym podobne sformułowania są z punktu etyki chrześcijańskiej nie do przyjęcia? Przede wszystkim należy uznać, że lekarz, jako osoba prywatna, nie może zastosować żadnego środka, nie może podjąć się żadnego zabiegu bez zgody pacjenta. Lekarz nie ma nad pacjentem żadnej władzy ani żadnych w stosunku do niego praw, jak tylko te, których on mu użył i których to wyraźnie, czy też pośrednio i milcząco, pacjent

zaś nie może dać nikomu więcej praw, niż sam posiada. Granicą moralną postępowania lekarza jest zgoda jego pacjenta. Pacjent zaś nie posiada bezwzględnej władzy nad sobą samym, swoim ciałem, swoim duchem. Nie może więc dysponować sobą dowolnie, jak mu się podoba. Ma on ograniczone przez naturalną celowość prawo użytkowania władzy i sił swojej natury ludzkiej. Nie jest jej właścicielem, lecz tylko użytkownikiem i wobec tego nie ma prawa angażować swojej całości fizycznej i psychicznej w eksperymentach lub badaniach medycznych, jeżeli te zabiegi pociągają za sobą poważne okaleczenia, rany lub niebezpieczeństwa. Ponadto dysponując sobą, swoimi władzami i organami, człowiek musi przestrzegać hierarchii wartości. Tak na przykład nie może pozwolić na takie zabiegi lekarskie, które usuwają wprawdzie poważne zaburzenia fizyczne czy psychiczne, ale równocześnie powodują trwałe powabienie lub znaczne i trwałe zmniejszenie wolności, to znaczy osobowości ludzkiej w jej typowym i charakterystycznym funkcjonowaniu. W ten sposób bowiem człowiek zostałby zegraduowany do poziomu istoty czysto sensoryjnej lub zgola żyjącego automatu. Inny przykład. Aby uwolnić się od pewnych nawyków i kompleksów psychicznych, nie wolno wzbudzać w sobie wszystkich czy niektórych żądz zmysłowych; ponieważ dla człowieka i chrześcijanina istnieje prawo zachowania czystości osobistej i szacunku dla samego siebie a to zabrania pograżania się w świecie wyobrażeń i skłonności seksualnych. Jeżeli chodzi o dzieci lub umysłowo

chorych, rodzice lub osoby opiekujące się z urzędu mają prawo zezwalać lekarzowi na zabiegi lecznicze w tych samych granicach, w jakich jest to dozwolone ludziom dorosłym i odpowiedzialnym za siebie.

DOBRO OGÓLNE

Nie można zaprzeczyć, że dobro ogólne istnieje. Niemniej jednak władza państwowa nie może w interesie dobra ogólnego ograniczać lub znosić prawa osobistego człowieka do własnego ciała i życia i do całości, integralności cielesnej i psychologicznej. Straszny nadużyciem pod tym względem były różne praktyki i zabiegi lekarskie w obozach koncentracyjnych w czasie drugiej wojny światowej. Wobec tego Papież z całą stanowczością stwierdza ważną, a nieraz zapomnianą prawdę, że społeczność jest dla człowieka, a nie człowiek dla społeczności. Społeczność jest wielkim środkiem zamierzonym przez naturę i przez Boga, aby pomóc każdemu w rozwoju jego osobowości, stosownie do udołnienia indywidualnych i społecznych. Społeczność, jeśli ją rozważamy jako całość, nie jest jednością fizyczną, która istnieje sama w sobie i jej członkowie indywidualni nie są jej częściami integralnymi. Każdy organizm fizyczny byłoby żyjących, roślin, wzrzął lub człowieka posiada jedność która istnieje sama w sobie; każdy z członków, na przykład ręka, noga, serce, oko, jest częścią integralną, przeznaczoną całym swym bytem do włączenia w całość organizmu. Poza organizmem członki te nie mają, ze swej natury, żadnego sensu, żadnej celowości; są one całkowicie

wchłonięte przez całość organizmu, z którym się łączą. Zupełnie inaczej rzecz się ma ze społecznością moralną i z każdym organizmem o charakterze czysto moralnym. Całość nie jest tutaj jednością, która istnieje sama w sobie, lecz prostą jednością celowości i działania. W społeczności indywidualne osoby są tylko współpracownikami i narzędziami do osiągnięcia wspólnego celu społeczności.

Jakie wnioski z tych rozważań, jeśli chodzi o organizm fizyczny? Właściciel i użytkownik tego organizmu, który posiada jedność istniejącą samą w sobie, może dysponować wprost i bezpośrednio częściami integralnymi, członkami i organami, w ramach ich celowości naturalnej; może również interweniować, tak często i w miarę jak wymaga tego dobro całości, w celu ubezwładnienia, zniszczenia, uszkodzenia i odłączenia jej członków. Lecz przeciwnie, gdy całość posiada tylko jedność celowości i działania, szef tej całości, czyli w rozpatrywanym wypadku władza publiczna, zatrzymuje bez wątpienia władzę bezpośrednią i prawo stawiiania wymagań działaniu części, ale w żadnym wypadku nie może dysponować wprost bytem fizycznym tej całości. Również każde wyrażenie szkody bezpośrednio istocie tej całości jest nadużyciem kompetencji władzy.

Na mocy omówionej zasady władza publiczna nie ma żadnego prawa w dziedzinie omawianych zabiegów medycznych, jeśli dotyczą one bezpośrednio i wprost bytu fizycznego czy to całości organizmu ludzkiego, czy też poszczególnych organów tego organizmu. Tym samym władza pu-

bliczna nie może badaczom i lekarzom pozwalać na te zabiegi, ponieważ nie może przekazywać nikomu prawa, którego sama nie posiada. Nawet gdy chodzi o wykonanie wyroku śmierci, państwo nie dysponuje prawem jednostki do życia. W tym wypadku władza publiczna powinna wskazać dobro życia, w ekspiacji za winę, ponieważ przez swoją zbrodnię zoczył stracił swe prawo do życia.

ZNACZENIE

WYMAGANIA MORALNYCH

Może zarzucić ktoś, że przedstawione przez Papieża idee stanowią ciężką zapórę dla badań i pracy naukowej. W przewidywaniu takiego zarzutu Papież stwierdził, że wprost przeciwnie, nakreślone przez niego granice nie są ostatecznie przeszkodą w postępie nauki. Na polu medycyny sprawa nie przedstawia się inaczej, niż w innych dziedzinach badań, prób i działań ludzkich: wielkie wymagania moralne zmuszają strumień myśli i woli ludzkiej, rwący, podobnie jak potok górski, do płynięcia w określonym łożysku; wymagania te hamują strumień myśli i woli ludzkiej, aby zwiększyć jego skuteczność i użyteczność, są tamami, aby strumień nie wystąpił z brzegów i nie stał się przyczyną spustoszeń, których nigdy nie potrafiłby powetować specjalne dobra osiągnięte przez te spustoszenia. Pozornie wymagania moralne są hamulcem. W rzeczywistości przyczyniają się do tego, co człowiek dla najlepszego i najpiękniejszego dla wiedzy, dla jednostki, dla społeczności.

(J)

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

Obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. W Ségolène ks. rektor Kubsz poświęcił obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, malowany przez p. Grabowskiego z Vitry-sur-Orne. Po odmówieniu modlitwy do Matki Boskiej, napisanej przez kardynała Hlonda, nastąpiło wystawienie Najśw. Sakramentu, po czym odśpiewano „Boże, coś Polskę”.

Zgon wielkiego uczonego. 7 października zmarł w wieku lat 75 ks. dr Franciszek Sawicki, znany polski teolog i filozof, profesor seminarium duchownego w Pelplinie. Wydał wiele książek, w których potrafił połączyć głęboką wiedzę z jasnym przedstawieniem nawet najtrudniejszych problemów. Książki te omawiały: biblijny i współczesny pesymizm, wartość i godność osobowości w chrześcijaństwie, problem osobowości i nadczłowieka, ideał osobowości, prawdziwość chrześcijaństwa, sens życia, indywidualizm i osobowość, politykę i moralność, filozofię historii, katolicką pobożność, filozofię życia dawnych i nowoczesnych myślicieli, filozofię miłości, dowody na istnienie Boga, zagadnienie „dlaczego wierze”, filozofię cierpienia. Ostatnią jego książką „Bog jest miłością” omawiająca prawdę tak wyraźnie stwierdzoną przez ucznia miłości — jest jakby najodpowiedniejszym zakończeniem pracowitego żywota, na progu wieczności, gdy człowiek w jednym akcie umiłuje Boga na całą wieczność.

Metody katechetyczne. Kościół katolicki w różnych wiekach różnymi używał metod nauczania wiernych prawd wiary i zasad moralności. W ostatnich wiekach nauca się religii w oparciu o schemat: nauka wiary, nauka obyczajów, traktat o łasce. Obecnie coraz wyraźniej dąży się do zmiany metody katechizowania na metodę stosowaną przez św. Ireneusza i św. Augustyna. Wśród dążeń w tym zakresie należy podkreślić zwolnienie wydania „Pism katechetycznych” św. Augustyna przez Instytut Wydawniczy „Pax” w Warszawie.

Druga z rzędu co do wielkości katedra. Największa po bazylice św. Piotra w Rzymie będzie budowana obecnie katedra w Liverpoolu.

Za ukrywanie księży. Zmarły przed kilku miesiącami biskup Clermont-Ferrand, ks. Gabriel Piquet, był więziony w Dachau za ukrywanie księży należących do francuskiego Ruchu Oporu. Zmarły dostojnik Kościoła zyskał sobie w obozie koncentracyjnym powszechny szacunek za swą pełną poświęcenia postawę oraz za pracę kapłanską wśród więźniów.

Obłędne ataki na Papieża. W rezytmowym miesięczniku literackim „Twórczość” za wrzesień w artykule „Kiel mamuta czyli sądymy z drobiazgowo” niejaki Juliusz Stawinski pisze m. in.: „Kościół swą potęgę utwierdza na fundamencie ignorancji, zabobonu i fanatyzmu. Stolica Apostolska leży dziś z tamtej strony Atlantyku, papież faktycznie mieszka w Nowym Jorku i nazywa się J. Spellman. Ale stało się to dopiero sześć lat temu.” A dalej pisze, że „naturalnym biegiem rzeczy z rozkazu arcybiskupa New Yorku biskup rzymski sprzymierza się z muftim Jerolimym i składa hold sztanदारowi Poroka, w nadziei, że Polkiżyc wesprze Krzyż w krucjacie przeciw Gwieździe Stepu.” Autor zarzuca też Papieżowi, że „wzywa następcę Hitlera do zaboru Wrocławia, Gdańska i Katowic oraz nowego całopalenia Warszawy”.

300-lecie „Bractwa Literackiego”. Przy kaplicy Zwiastowania w kościele Bożego Ciała w Krakowie istnieje tzw. Bractwo Literackie, które ostatnio obchodziło 300-letnią rocznicę swego wstąpienia, 25 grudnia r. 1651, przez ks. Jacka Liberiusza.

Początki Bractwa Literackich sięgają pierwszych wieków chrześcijaństwa. Założenie pierwszego związane jest z legendą o liście Matki Boskiej do Messyny. Kaplica, w której miało przechowywać ten list, nazywała się kaplica Madonny della Lettera (Matki Boskiej Listu). Z czasem przy kaplicy powstało bractwo, które opiekowało się kaplicą, szereżyło kult Matki Boskiej i nazywało się bractwem literackim czyli bractwem listu. Jednym z bractw literackich, które powstały w Polsce, jest Bractwo Literackie istniejące przy kościele Bożego Ciała w Krakowie. Każdej soboty księża kanonicy regularni laterańscy, którzy są gospodarzami kościoła, po odmówieniu nieszporów i komplety udają się wśród śpiewu „Ave Maria Stella” do kaplicy Zwiastowania i tam w otoczeniu kleryków, członków bractw i innych wiernych odmawiają litanię i modlitwy do Najśw. Marii Panny oraz śpiewają pieśni maryjne.

OD POZNANIA DO LWOWA

Wrażenia podróżnika angielskiego sprzed 90 lat

barszczem i chłodnikiem. Powstańca zaprzętał umysły krakowian. W mieście bawił osobnik podający się za korespondenta „Timesa”, Anglik o niemieckim nazwisku. Przebijał przy jednym z oddziałów powstańczych i został przez Rosjan wzięty do niewoli. Rosjanin z honorami zabrał go do Lublina i w czasie picia zdrowia Suworowa on wypił z nimi toast. Gdy dowiedział się o tym Polacy, uznali go za szpiega i wydali nań wyrok śmierci. Co więcej, „Times” zaprzeczył, jakoby ów osobnik było korespondentem pisma.

Clark upatrzył odpowiednik „Timesa” w krakowskim „Czasie”.

Katedra krakowska przypomina

mu kaplicę św. Jerzego w Windsor, a pod względem bogactwa rywalizuje z Westminster Abbey.

Odwiedził groby królewskie i zachwycał się rzeźbami Thorwaldsen na w kaplicy Potockich.

Sukienicze przyrównał do Westminster Hall.

Podziwiał opiekę, jaką znajdowali w Polsce Żydzi, gdy wypędzani ich z zachodniej Europy. Twierdził, że cały średni handel w Polsce znajduje się w rękach żydowskich.

Austriacki komendant miasta mówił mu, że jest pewien swych wojsk w razie buntu Polaków. Są to bowiem greko-katolicy z Ukrainy, Podolia i Wołynia, którzy są wrogo ustosunkowani do Polaków.

DWA KONGRESY W RZYMIE

Kongres przełożonych generalnych. W połowie września odbył się w Rzymie kongres matek generalnych zgromadzeń zakonnych żeńskich. Zachętą dla urzędzenia tego kongresu był taki sam kongres, który odbył się w tym roku w Ameryce dla przełożonych zakonnych i zgromadzeń męskich. Organizacja raczej była improwizowana, wynik jednak był nadzwyczajny. Przyjechały przełożone z całego świata, tak że posiedzenia musiano przenieść z Pałacu della Conciliazione do Gregorjanum ze względu na małe pomieszczenie pierwszego.

Rezultat zjazdu: postanowiono założyć uniwersytet dla studiów teologicznych dla zakonnic w Rzymie; nie zmieniając celów, którym zgromadzenia służą, nastawił je

jednak tak, aby się dostosowały do potrzeb chwili obecnej.

Zjazd Akcji Katolickiej w Rzymie. 11 i 12 października odbył się zjazd w Rzymie mężów włoskiej Akcji Katolickiej. Punktem szczytowym zjazdu było zgromadzenie w niedzielę 12 października na pl. św. Piotra i przemówienie Ojca św. do zebranych. Ojciec św. podkreślił problemy chwili obecnej, a mianowicie niebezpieczeństwo zagrożające ze strony komunizmu. Nieprzyjaciel jest bliski, jest wśród was, jest w waszych rodzinach. Porównał czasy dzisiejsze do czasów Leona Wielkiego, za którego groził zalew ze strony Atyli. W sobotę został poświęcony nowy kościół ku czci św. Leona Wielkiego.

Cały plac i aleja della Conciliazione były wypełnione około dwustu tysiącami wiernych.

Oreddie Prezydenta Rzeczypospolitej

na dzień Święta Niepodległości

Obywatele Rzeczypospolitej! 11 listopada 1918 roku Naród Polski osiągnął cel, o który walczyli pokolenia naszych ojców, dziadów i pradziadów. Walczyli wszyscy, jak kto mógł i jak kto umiał. Jedni z bronią w ręku, inni na polu nauki, literatury lub sztuki, inni wreszcie w zakresie pracy gospodarczej i społecznej.

Cel jednak tych walk był zawsze ten sam: NIEPODLEGŁOŚĆ.

Co słowo to oznacza, najlepiej wiedzą ci, którzy, tak jak my, niepodległość stracili. Często słyszymy dociekania na temat tego, że w obecnej fazie historii niepodległość poszczególnych państw staje się iluzoryczną wobec coraz bardziej wikłającego się położenia gospodarczego i politycznego świata, które wymaga coraz bliższego współdziałania państw między sobą. Tak jest niezawodnie. Istnieje jednak wielka zasadnicza różnica między tymi rodzajami zależności, a utratą niepodległości.

Zobowiązania pobierane w imieniu poszczególnych państw przez ich

prawowite władze nie stanowią utraty niepodległości. Dopiero, gdy państwo obce narzuca innym swą wolę siłą lub zmusza je do poddawania się rządowi wyznaczonym przez siebie wbrew woli obywateli kraju, wtedy następuje utrata niepodległości.

Fakt, że wszystkie państwa przyjmują na siebie dobrowolnie pewne ograniczenia swej wolności, nie może być powodem zaprzestania przez tych, którzy zostali pozbawieni wolności przez innych, walki o odzyskanie niepodległości, do której każdy naród ma niezaprzeczalne przyrodzone prawo.

Tego prawa pozbawiono brutalną siłą naszą Ojczyznę. Dlatego mamy obowiązek walczyć o odzyskanie niepodległego bytu dla Polski wszelkimi sposobami, jakie są nam dostępne i jakie w chwili obecnej mogą przyspieszyć osiągnięcie i pożądanego celu, wystarczając się zarazem ponoszenia ofiar bezwzględnych. Ufamy, że Bóg w tej słusznej walce nam pomoże.

AUGUST ZALESKI Londyn, listopad 1952 r.

STEFAN BADENI

POSSEVINO U IWANA GROŻNEGO

21 lipca 1581 r., gdy król Stefan Batory wyruszał z wojskiem z obozu polockiego pod Pskowem, opuścił równocześnie i o. Antonio Possevino Polock, aby w towarzystwie dwóch księży, przynależnych jak i on do zakonu Loyoli, udać się jako poseł papieża Grzegorza XIII do cara Iwana Groźnego, przebywającego w Starycy. Niezmiernie trudne, ale i niezmiernie doniosłe zadanie powierzył namiestnik Chrystosowy swemu posłowi. Dzieje znaczenie tej misji, ogromne jej skutki dla Kościoła, jeśli by była udana, poruszały głęboko umysł i serce jezuity, ambitnego dla chwały Bożej, a także dla chluby swego zakonu. Posrednictwem pokojowym między królem a carem było tylko częścią jego zadania; papież pragnął nakłonić Iwana do wypraw wojennej przeciw Turkom, wrogom całego chrześcijaństwa i Europy, a nie nad wszystkim górować nieposzedziony od dawna w myśl następców św. Piotra; nawrócenie Kościoła wschodniego, poddanie hierarchii Rzymu wszystkich ziem skupionych już pod berłem moskiewskiego despoty.

W czasie siedmiu tygodni swego pobytu wśród Polaków i Litwinów słyszał Possevino wiele o Iwanie Groźnym, o którym do Rzymu docierały wiadomości niejasne. Teraz dopiero stanął przed jego okiem wyraźny obraz człowieka, który swym dzikim, niepojętym okrucieństwem, wymordowaniem niezliczonych tysięcy ofiar, własnoręcznym zadawaniem wymyślnych cierpien, których opis zapewniłby księgę, niewątpliwie przesłaniającą wszystkie najbardziej krwawe postaci znane w starożytności i średniowieczu. Jeśli nawet Possevino sądził, że wiekowa nieprzyjaźń sąsiadów Moskwy umniejsza ich bezstronność, musiał wierzyć jezuitom polskim z Piotrem Skargą na czele.

Droga do Starycy, okrzęta lecz dogodniejsza, wiodła przez Orszę, Dubrownę, Smoleńsk i Wiazemę. Polska eskorta doprowadziła posłów do pogranicznego miejsca za Dubrowną, w którym oddział wysłany przez cara miał obłąkać nad nimi opiekę. Polakom było śpieszno powrócić i nie oczekali przybycia Moskali, tak że jezuita spędził noc w głębi borów, wsłuchani w szum letniej ulewy i w nieznaną im odgłosy puszczy. O brasku dopiero przybył dowódca moskiewski Potemkin z sześciu deszczówkami. W Smoleńsku powitał przybywających biskup prawosławny, Sylwester. Possevino miał się zaproszonym i prowadzonym na obiad, gdy ujrzał się niespodzianie przed bramą cerkwi; tu w obliczu zgromadzonego tłumu władcy zwrócił się do niego i podał mu ceremonialnie rękę do pocałowania. Jezuita nie miał ochoty odegrać roli przeznaczoną mu w tym widowisku i ani nie pochylił się nad wyciągniętą ręką, ani nie wszedł do świątyni. Po dłuższym naleganiu władca dał za wygraną.

Staryca była twierdzą; w niej car, który małowadnie trzymał się z dala od pola walk, czuł się bezpieczny. Przedstawiciele jego przyjęli poselstwo przed murami nader uroczyste. Piękną kary koń, bogato siodłany, był darem samowładcy dla Possevina. Ugoszczono posłów suto, wzięto przez nich podarunki Ojca św. obejrzano zaraz i spisano dokładnie; zostały potem włożone do worków ze złocistej tkaniny. Oświadczone posłom, że za dwa dni będzie im dane spojrzeć w „pogodne“ oczy cara.

Posłuchanie było przygotowane szczegółowo. Iwan, uważający się za spadkobiercę greckich cesarzy, otaczał się bizantyjską eszkieta pełną przepychu, a pełną niewolniczej uniżoności ze strony jego otoczenia. Oddział jeźdźców okazał przybranych wyprzedził jezuitów, drugi jechał za nimi, trzech dworzian niosło dary papieskie, wszędzie stały szpalery gwardzistów w jaskrawych strojach. Possevino i jego towarzysze minęli kilka sal rojnych od bojarów, którzy, brodząc i długowłosi, kosztowną pstrokaczną szatą pokrywających wiele niedostatków, ciekawie patrzyli na niewidziane dotąd postaci zakonników, kroczących w swych czarnych habitach. Wysokie „hiszpańskie“ kołnierze nadawały synom Loyoli swoistą cechę. U progu ostatniej sali pochod się zatrzymał i jeden z dostojników obwieścił donośnie, że posłowie uderzyli czołem przed majestatem cara.

Iwan Groźny był wysokiej postawy, silnej kościastej budowy; głowę miał krótko strzyżoną, tym dłuższe były rudawe wasy i siwiejąca broda. Spojrzenie małych niebieskich oczu było przysięgą i całą postać pięćdziesięcioletniego dopiero mężczyzny czyniła wraże-

nie zmęczonej i przytłoczonej, a twarz o zażyłym mięsistym nosie, zmięta i poodrana zmarszczkami, wydawała się spustoszona szaleńcem okrucieństwa i wyrodnej rozpusty. Tron, na którym siedział, błyszczał od klejnotów, jak i wielobarwny brokatowy strój autokraty; nawet buty jego były pokryte drogimi kamieniami i perłami. Z długim berłem w dłoni, w wysokiej i spiczastej mongolskiej czapce, w której leżał ogromny rubin, przedstawił się Iwan niby bożek azjatycki oczom stojących przed nim kapłanów. Gdy Possevino, zgodnie z protokołem, począł wymieniać tytuły swego papieskiego mocodawcy, car powstał uprzejmie, potem podał

ZAPISKI LONDYŃSKIE

80-LECIE URODZIN VAUGHANA WILLIAMS

Dnia 12 października najwybitniejszy dziś kompozytor brytyjski Ralph Vaughan Williams obchodził 80-lecie swych urodzin. Prasa brytyjska poświęcała tej rocznicy liczne artykuły, podkreślając, że Williams ostatnie pół wieku był naczelną postacią muzyki angielskiej i że charakterystycznym znamionami jego osobowości są odważność i prawda zarówno w życiu osobistym jak twórczym.

Twórczość muzyczna Williama cechuje duża różnorodność. W dorobku swym ma zarówno muzykę kościelną jak utwory koncertowe i operowe. Jest także pionierem pieśni i tańców ludowych. Nie przestał tworzyć i teraz, mimo podeszłego wieku. W styczniu przyszłego roku wykonano będzie nowy utwór jego „Sinfonia antarectica“, który, jak zaznacza prasa, nie jest tylko powtórką czy przeróbką muzyki napisanej w latach 1948 — 49 dla filmu „Scott of the Antarctic“.

Powszechnie podkreślany jest narodowy charakter muzyki Vaughana Williama, jej „angielskość“. W dniu rocznicy odbył się w londyńskim Albert Hallu wielki koncert poświęcony wyłącznie jego dziełom.

NIEPOWODZENIE ZBIORKI NA FUNDUSZ G. B. SHAWA

W obliczu tych holdów składanych Vaughanowi Williamsowi, tym bardziej uderzać musi szybki i społeczeństwu brytyjskim taki zainteresowania twórczością zmarłego niedawno G. B. Shawa, a nawet jego obra. Świadczy o tym fakt, że komitet, który zajmował się zbiorcą funduszu jego imienia „The George Bernard Shaw Memorial Appeal“, ogłosił świeżo, że zbiorczą przerywa z powodu braku poparcia ze strony społeczeństwa. Zbiórka ta podjęta została w listopadzie r. ub. i liczone, że przyniesie ona nie mniej niż 350,000 funtów. Skończyła się jednak kompletnym fiaskiem: do pierwszych dni października r. b., a więc w ciągu prawie roku zebrano niecałe 1,000 funtów.

Komitet zbiorki w komunikacji swym z wiadomianiami subskrybentów, że mogą obłąkać z powrotem wpłacone pieniądze, albo też przeznaczyć je na pokrycie kosztów akcji zbiorczej.

Niepowodzenie akcji zbiorczej tłumaczy się w znacznej mierze tym, że Shawa, choć jego talent dramatyczny był uznawany, nie cieszył się nigdy rzeczywistym, trwałym sentymentem społeczeństwa brytyjskiego. Nadto ci, do których apelowano o składki, pamiętali, że zmarły dramaturg pozostawił po sobie bardzo znaczny majątek (którego część, jak wiadomo, poświęcił na propagan-

cję reformy ortografii angielskiej) — i to na pewno nie było zachętą do składania pieniędzy.

KONSERWACJA STARYCH KOŚCIOŁÓW ANGLIJSKICH

Pod patronatem Królowej Elżbiety II powstała specjalna instytucja pod nazwą „Historic Churches Preservation Trust“, której zadaniem jest konserwacja i chronienie od zagłady starych kościołów angielskich. Prezydentem tej instytucji został książę Edynburga, a wśród „powierników“ (trustees) znalazły się, obok angielskich arcybiskupów Canterbury i Yorku, wybitne osobistości życia politycznego i społecznego Anglii z premierem Churchilliem i przewodniczącą opozycji p. Attlee na czele.

Prasa przypomina, że Anglia posiada około 3000 kościołów, które wzniesione zostały jeszcze przed podbojem normanckim, a dalszych 8,000 kościołów zbudowanych zostało w całości lub w większej części przed koniec wieków średnich. Wszystkie te kościoły były oczywiście pierwotnie katolickie, później zaś ogromna większość przejęta została przez „Church of England“. Wiele z nich znajduje się dziś w stanie wielkiego zaniedbania. Zadaniem „Trustu“ będzie przeprowadzenie niezbędnych napraw, później zaś utrzymywanie tych kościołów w należytym stanie.

W komunikacie o powstaniu „Trustu“ czytamy charakterystyczną uwagę, że choć „większość historycznych kościołów W. Brytanii należy do „Church of England“, to sentymenty, jakie czuje dla nich społeczeństwo, daleko wykracza poza sterygi osób regularnie uczęszczających do kościoła („regular churchgoers“).

ZABYTEK OCAŁONE OD WYWIEZIENIA

W r. 1929 amerykański magnat prasowy William Randolph Hearst zakupił całe urządzenie wewnętrzne słynnej „wielkiej komnaty“ („Great Chamber“) zamku w Gilling, w Yorkshire.

Urządzenie to datuje się z drugiej połowy XVI wieku, kiedy ówczesny właściciel Gilling Castle postanowił zamienić je surową do tej pory komnatę w wielki „salon“, w którym mógłby spędzać czas ze swą rodziną i przyjmować gości. Fairfax odmówił w tym w sprawie, i właśnie motywo heraldyczne użył do przyozdobienia „Great Chamber“. Wielkie okno w wykuszu przyozdobził herbami rodu Fairfaxów i wirażami. Inne okna poświęcił herbom swej żony i swej synowej. Bogato rzeźbiony i malowany kominek otrzymał jego własny herb, podobnie jak umieszczone zostały herby jego czterech siostr. U góry, dla zamanifestowania lojalności wobec panującej wówczas kro-

ny własnych poddanych, z obrabowania doszczętnego republik nowogrodzkiej i pskowskiej, przewyższała wartość skarby wszystkich dynastii europejskich.

Dzień zakonczyła dwugodzinna uczta. Połmiski na stołach były szczerolotne, stopy złotych talerzy piętrzyły się w sali i w przedpokojach. Stoł, przy którym siedział Iwan ze swym synem, był umieszczony na wywyższeniu, nad nim jaśniał duży obraz Matki Boskiej. Car po imieniu wołał uczestników wskazując im miejsca. Szerzący groźną władca przemienił się w uprzejmego, miłego gospodarza, zatroskanego o dobrobyt swych gości. Niektórym posyłał talerze z nałożo-

ZAPISKI LONDYŃSKIE

LOWEJ FIZYKI I, FAIRFAX DAŁ WYRZEBIĆ JEJ

godło herbowe ze lwem i gryfem. Jego pasja heraldyczna znalazła szczególne „masowy“ wyraz na górnym trybie, biegnącym dokoła komnaty. Na fryzie tym wymalowane są dęby ze zwieszającymi się z ich gałęzi herbami 441 wybitnych rodzin Yorkshire, Komnata odobiona została ponadto robotami snycerskimi.

Siedziba rodu Fairfaxów po kilku stuleciach podzieliła los innych rezydencji wielkiego ziemiaństwa angielskiego i pod koniec ubiegłego wieku została sprzedana, a jej zbiory i zabytki uległy rozproszeniu. Zakupione przez Hearsta urządzenie „Great Chamber“ witraże, rzeźby w drzewie, a mianowicie ozdoby od ścian i zapakowane celem przewiezienia do Ameryki, — do tego jednak nigdy nie doszło. Przez 23 lata rzeczy te spoczywały po pakach, a klepsydrę umiaru, nabyte zostały przez Ampleforth College, które znalazło się w posiadaniu zamku Gilling. W pokryciu kosztów wydatki udział wzięła mała ekipa w Gilling, zamieszkała ogółem przez 130 osób: farmerów i ich rodzin. Przyznali się też oni do ponownego umieszczenia uratowanych zabytków w „Great Chamber“ zamku.

„The Listener“, który opowiada tę historię, podkreśla, że w uroczystościach otwarcia wskrzeszonej w ten sposób komnaty wezmą udział między innymi potomkowie Williama Fairfaxa. Wszystko to razem świadczy o dążności do ratowania historycznych zabytków i tradycji brytyjskich, — dążności, która coraz żywiej jest także wśród szerokiej rzeszy ludności.

STULECIE URODZIN RAMSAYA

Brytyjski świat naukowy obchodzi w tym roku stulecie urodzin znakomitego uczonego Williama Ramsaya, Ramsay, pochodzący z rodziny szkockiej, urodził się w r. 1852 w Glasgow. Był w latach 1880 — 1887 profesorem chemii w Bristolu, później zaś, w latach 1887 — 1912, w University College w Londynie. Wraz z innym uczonym, lordem Rayleigh, odkrył w r. 1894 gaz nazwany gazem. Później w wyniku swych badań naukowych uzyskał inne gazy: hel, neon, krypton i ksenon. W r. 1904 otrzymał za swe prace w dziedzinie fizyki i chemii nagrodę Nobla. Zmarł w r. 1916, mając lat 61.

SIGNUM TEMPORIS

W tych dniach powstało w Londynie Towarzystwo Anglo-Niemieckie (Anglo-German Association), mające na celu zacieśnienie stosunków między obu krajami. Głównym jego inicjatorem był lord Pakenham z Partii Pracy, b. minister lotnictwa cywilnego

nymi najlepszymi kaskami i kubki napelnione miodem. Łagodnie, prosząc brzmiał głos tyrańca, gdy mówił do Possevina: „Posil się, Antonio, jadem i napitkiem po tej dalekiej drodze, odbytej do nas na polecenie Ojca św., Głowy Kościoła rzymskiego i Pasterza, którego z całej duszy czcimy“.

Cztery tygodnie trwał pobyt posła w Starycy, spędzony na rokowaniach z wyznaczonymi przez cara urzędnikami. Sposób, w jaki prowadzili układy, przewlekły i nużący, ich nieuchwytność, wykrętne wywoływały ciężką próbę cierpliwości dla dyplomaty o temperamentie południowca i wdrożonego w szkole Loyoli do ścisłego,

ZAPISKI LONDYŃSKIE

W RZĄDZIE ATTLEE, KTÓRY — JAK STwierdza

„Observer“ — już od sześciu lat pracuje nad zbliżeniem między W. Brytanią i Niemcami i wyrównaniem różnic dzielących oba narody i państwa.

Nowopowstała organizacja jest od strony brytyjskiej „bi-partisan“, to jest ma poparcie obu głównych stronnictw brytyjskich. Symbolem tego był fakt, że na inauguracyjnym zebraniu towarzysząca zjawili się razem obecny minister spraw zagranicznych Eden i jego poprzednik w rządzie Partii Pracy Morrison.

Warto dodać, że już przed wojną istniało w Londynie Towarzystwo Anglo-Niemieckie, które później ze zrozumiałych względów rozdzieliło się.

SAMOLETEM W OSTATNIEJ CHWILI

Swego rodzaju rekord dokonała śpiewaczka brazylijska Constantina Araujo, mająca uległy głos sopranowy. Zwrócono się do niej, by natychmiast przybyła z Mediolanu do Londynu i wykonała główną rolę w operze „Białe Maski“ w Covent Garden w miejsce Heleny Werth, która nagle zachorowała na gardło.

P. Araujo wstąpiła zaraz do samolotu i przybyła do Londynu wieczorem na godzinę przed rozpoczęciem przedstawienia. W teatrze odniosła pełny sukces.

DWA MILIONY ODBIORNIKÓW TELEWIZYJNYCH

Ze świeżo wydanego rocznego sprawozdania BBC (1951-52) wynika, że liczba licencji telewizyjnych w Wielkiej Brytanii podwoiła się w ciągu roku sprawozdawczego i wyniosła w końcu 1951 r. — 1,162,359. W chwili obecnej liczba ta niewątpliwie przekroczyła dwa miliony.

Z chwilą otwarcia nadawczej stacji telewizyjnej w Wenowie w Walii więcej niż trzy czwarte całej ludności W. Brytanii korzystają z telewizji. Jak dotąd nie udało się jeszcze stwierdzić jaki wpływ to rozpoznało na rozwój sztuki i literatury. Niektóre programy radiowe straciły wielu słuchaczy.

NOWY FILM CHARLIE CHAPLINA

W Nowym Jorku odbył się prywatny pokaz pierwszego od pięciu lat nowego filmu Charlie Chaplina pt. „Limelight“ („W świetle kinolektywa“). Wyświetlenie filmu trwa 2 godziny i 23 minuty. 63-letni Charlie Chaplin nie tylko zagrał główną rolę, ale i napisał scenariusz (praca ta trwała dwa i pół roku), skomponował muzykę, wyreżyserował i wyprodukował film. Wielu krytyków sądzi, że jest to największe z dzieł tego wielkiego artysty.

FERDYNAND GOETEL

Kiedy zimą 1907/8 stanąłem na narciach na Gubalówce,*) zmierzając do Tatrz z tamtej, orawskiej strony, kotłinę Zakopanego pokrywał śnieg równy i niezarysowany żadnym śladem nart. Pierwsza czwórka narciarzy miejscowych: Bednarski, Lesicki, Leria, Zdyb, zaszła w Katalówkę, poznawała arkana nowego sportu. W Zakopanem powiadano o nich, że dostali bzik a o nowym sporcie chodzili wieści równie przesadzające, jak o lotnictwie, w jego początkach. Za rok było już inaczej. Po paru latach Tatry, jak i Karpacie, zaroily się od narciarzy. W roku 1910 zaczęli jeździć na narciach i górale. Nowy sport narastał jak lawina i wylamywał wrota dla nowego wieku na Podtatrzu. Rozszedł zamierznięte okopy zimy tatrzańskich, wdarł się w przedwiośnie, zaatakował wprzód kotłinę zakopiańską, później doliny, hale i szczyty, aż powstał zwycięską stopę na Kasprowym Wierchu. Tu zatrzymał się, przerażony niejakim dokonaniem dziełem.

Zadna miejscowość w Polsce nie przechodziła tak silnego i dogłębnego przeobrażenia jak Zakopane w okresie między dwu wojnami. Po odkryciu, że zima w Tatrach, gdy jeszcze na nogach narty, jest równa urokliwym latu, a może nawet nie wyższa, nastąpiło nasilenie najazdu z doln na Zakopane w sposób, jaki się nie snił Chaubińskiemu. Wzmógł się i napływał letni. Narastała i ludność zamieszkała stała. Przybywały nie tylko „murowańce“ hoteli i pensjonatów, ale i szkoły, gimnazja,

placówki kulturalne. Gadano już o uniwersytecie podhalańskim. Ruszyli na Tatry sport samochodowy, rynki motorów współzawodniczących w wysięgu tatrzańskich wdzierali się aż w kotłinę Morskiego Oka. Homo novus nie kupował ciupagi w sklepiku zakopiańskim. Serdakami się nie okrywał. Przybywał uzbrojony technicznie dyklować swe gusta. Tatry miały być im tylko ramą czy tłem.

Proces przeobrażenia tego był na Podtatrzu ciekawszym, bardziej pobudzającym do myślenia, bardziej dramatycznym, niż gdzie indziej. Cywilizacja godziła bowiem we wszystko, co było w Tatrach swoiste i stanowiło jego wartość niepowtarzalną. W puszcze leśną i łąkę, w górskie odzienie i czyszcze, we florę i faunę, w górską chatę, strój i cały obyczaj góralski. Świat, który pociągał tamtą generację i był niejako jej testamentem, był narazem teraz na ciężką próbę. Dostosować się do nowych warunków nie umiał a neraz i nie mógł.

Porażka dawnego Podtatrza w spotkaniu z nową erą przebiegała cicho, bez starć i bez gwałtownych zdarzeń. Aby ją zauważyć, trzeba było mieć oko zamilowane w dawnym Podtatrzu i sporo o nim wiedzy.

Na przeszerzeni swego życia zauważyłem własnymi oczami wiele małych, nieważnych zmian, zubożających tak przyrodę tatrzańską, jak i życie górali. Patrzyłem więc, jak rok po roku cofały się w głąb góry kwiaty górskie, te co piękniejsze, co bardziej wyraziste. Stórzycki za mną pamięć schodziła spod regły wzdłuż łąki i strumienia aż na równinę Karpów. W dalszych dzielnicach Za-

FERDYNAND GOETEL

kopanego, na Żywieciańskim, Skibówce, zapach ich stanowił o nadchodzącym poranku, jak rosa. Żelazna kultura cywilizacji wykryła im linie wzdłuż ścieżki pod Regłami. W ślad za nimi uszły łąkowe goryczki i trawnik bliższy Zakopanemu stracił w nich tyle, ile utraciłoby w gwiazdach niebo. Wynosiły tojad hidalgo kwiatów tatrzańskich znikł z kamiennych łożysk Storzysk i Biatego, już tylko w Smytnicy, Chocholowskiej żądnowany. Nawet s'arzysty dzięgiel, kładący nos i oko, nie uszedł chciwej łapy ludzkiej, gdy w modę weszła dzięgielowa nalewka. Szron szarolek wylatywał na wierzchołkach wzdłuż popularnych szlaków i siwiz już tylko czerpey Dudowych Kominów. A przecież, pamiętam, był wszechobecny, gdzie tylko wapienia skała. Przyszła kolej i na jesiony, drzewa nieodłącznie, niemal sakralne w „gojach“ przy góralskiej sadybie. Co dorodniejsze rznięto na deski narciarskie. N e jedną łąkę, drzewa już zabytkowe, wykradano cichem z leśnego wanciska, bo centkowany sękami grał łimbowy był rarytatem w mieszkaniu snoba.

Cóż jeszcze? Nie stało kozic w dolince Za Mnichem, w kotle Mieguszo-weckich, w Pańszczycy. W faunie północnej strony Tatry miały stanowić z czasem pozycję „pożyczaną“, z drugiej strony Tatry. Umilkły i świątaki, tak głośne kiedyś na Liliowym. Gdy jednak Giewont stał jak zawsze, Świnnicy nie ubywało, mimo iż roniła głązy, w lesie można było zbłądzić, w kosówce nogi potanać, gdy w stawach przelewało się od wody a halty raz po raz robiły wielkie przedmuchy zakopiańskiej kotłiny, gdy ponadto żył jeszcze i oddziały-

wał dawny mit o żywiole gór odrażdżającym się niespozyście, coż wazyć mógł kwat, zwierzę czy drzewa, którego nie stało?

A góralszczyzna?... Było jej wciąż aż nadto! Wystarczyło zajęcie w nędzieli pod kościół w Zakopanem, aby ujrzyć całą parady górali i góralce w ludowych strojach. Bywało, że i w dzień powszedni przejeżdżał przez Karpówki orszak weselny, z družbami-pytażkami w brunatnych cuchach, muzyką i przyspiewkami. Obrządku góralskiego można było obejrzeć na estradach teatrów, tamże oklaskiwano tańce góralskie w wykonaniu „prawdziwych“ górali, których popisowym występem był stałe zbrojniczeki, mimo iż zbrojników już dawno nie było a tańcom żywym, charakterystycznych dla góralszczyzny były trudniejszy od zbrojniczeki i ciekawszy „drobny“. Pogodna symbioza góralszczyzny z nową erą zdawała się być faktem bezspornym a treść góralszczyzny również nieprzebrana, jak zwiżył gór. Szczególnie zawzięty amator góralskiego trybu życia mógł przytem z łatwością wżgardzić nowoczesnym pensjonatem, wynajęć chałupę na Sk bówkach i zagnieździć się w drewnianej izbie w sąsiedztwie z gazdami.

A jednak myśl Witkiewicza i jego wysiłki stworzenia w Zakopanem jakiegoś stylu wspólnego dla miejscowych, jak i przybyłych, wisiała nad Zakopanem jak nierozwiązane i niemal już zarcucone pytanie. Podjęli je na nowo z różnym założeniem i różnym szczęściem architekt Karol Stryjeński i muzyk Karol Szymanowski.

ZAKOPANE MIĘDZY DWU WOJNAMI

Ważny mit o żywiole gór odrażdżającym się niespozyście, coż wazyć mógł kwat, zwierzę czy drzewa, którego nie stało?

A góralszczyzna?... Było jej wciąż aż nadto! Wystarczyło zajęcie w nędzieli pod kościół w Zakopanem, aby ujrzyć całą parady górali i góralce w ludowych strojach. Bywało, że i w dzień powszedni przejeżdżał przez Karpówki orszak weselny, z družbami-pytażkami w brunatnych cuchach, muzyką i przyspiewkami. Obrządku góralskiego można było obejrzeć na estradach teatrów, tamże oklaskiwano tańce góralskie w wykonaniu „prawdziwych“ górali, których popisowym występem był stałe zbrojniczeki, mimo iż zbrojników już dawno nie było a tańcom żywym, charakterystycznych dla góralszczyzny były trudniejszy od zbrojniczeki i ciekawszy „drobny“. Pogodna symbioza góralszczyzny z nową erą zdawała się być faktem bezspornym a treść góralszczyzny również nieprzebrana, jak zwiżył gór. Szczególnie zawzięty amator góralskiego trybu życia mógł przytem z łatwością wżgardzić nowoczesnym pensjonatem, wynajęć chałupę na Sk bówkach i zagnieździć się w drewnianej izbie w sąsiedztwie z gazdami.

A jednak myśl Witkiewicza i jego wysiłki stworzenia w Zakopanem jakiegoś stylu wspólnego dla miejscowych, jak i przybyłych, wisiała nad Zakopanem jak nierozwiązane i niemal już zarcucone pytanie. Podjęli je na nowo z różnym założeniem i różnym szczęściem architekt Karol Stryjeński i muzyk Karol Szymanowski.

Gdy więc o. Antonio z początkiem października przybył do obozu, zastał w nim nastroje, które nie były nieprzychylnie jego pokojowemu posianictwu.

Gdy więc o. Antonio z początkiem października przybył do obozu, zastał w nim nastroje, które nie były nieprzychylnie jego pokojowemu posianictwu.

ZAKOPANE MIĘDZY DWU WOJNAMI

Ważny mit o żywiole gór odrażdżającym się niespozyście, coż wazyć mógł kwat, zwierzę czy drzewa, którego nie stało?

A góralszczyzna?... Było jej wciąż aż nadto! Wystarczyło zajęcie w nędzieli pod kościół w Zakopanem, aby ujrzyć całą parady górali i góralce w ludowych strojach. Bywało, że i w dzień powszedni przejeżdżał przez Karpówki orszak weselny, z družbami-pytażkami w brunatnych cuchach, muzyką i przyspiewkami. Obrządku góralskiego można było obejrzeć na estradach teatrów, tamże oklaskiwano tańce góralskie w wykonaniu „prawdziwych“ górali, których popisowym występem był stałe zbrojniczeki, mimo iż zbrojników już dawno nie było a tańcom żywym, charakterystycznych dla góralszczyzny były trudniejszy od zbrojniczeki i ciekawszy „drobny“. Pogodna symbioza góralszczyzny z nową erą zdawała się być faktem bezspornym a treść góralszczyzny również nieprzebrana, jak zwiżył gór. Szczególnie zawzięty amator góralskiego trybu życia mógł przytem z łatwością wżgardzić nowoczesnym pensjonatem, wynajęć chałupę na Sk bówkach i zagnieździć się w drewnianej izbie w sąsiedztwie z gazdami.

A jednak myśl Witkiewicza i jego wysiłki stworzenia w Zakopanem jakiegoś stylu wspólnego dla miejscowych, jak i przybyłych, wisiała nad Zakopanem jak nierozwiązane i niemal już zarcucone pytanie. Podjęli je na nowo z różnym założeniem i różnym szczęściem architekt Karol Stryjeński i muzyk Karol Szymanowski.

Gdy więc o. Antonio z początkiem października przybył do obozu, zastał w nim nastroje, które nie były nieprzychylnie jego pokojowemu posianictwu.

Gdy więc o. Antonio z początkiem października przybył do obozu, zastał w nim nastroje, które nie były nieprzychylnie jego pokojowemu posianictwu.

*) Por. artykuły „Ojciec Possevino“ w nrze 29 (265), „Inicjatywa Iwana Groźnego“ w nrze 34 (270), „Dwa poselstwa“ w nrze 30 (275) i „Possevino i Batory“ w nrze 43 (279) ZYCIA.

*) Por. „Zakopane między dwu wojnami“ w nrze 44 (280) ZYCIA.

